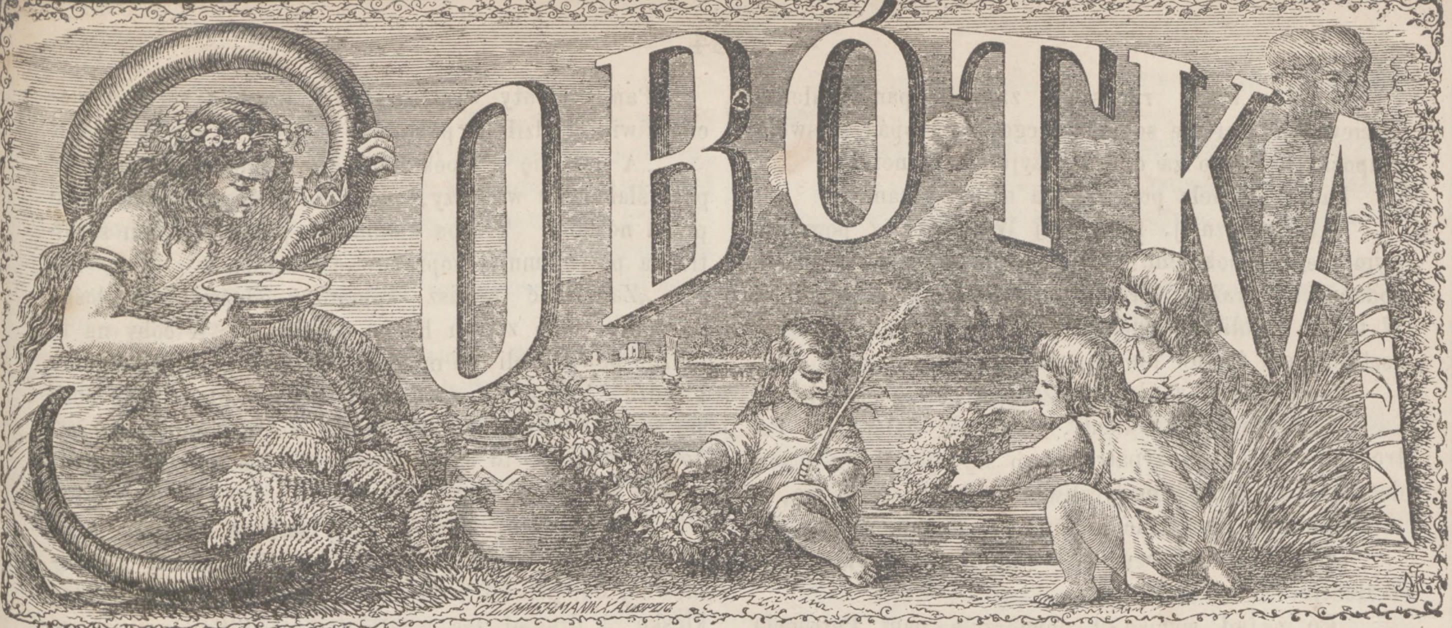


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 30. Poznań, dnia 23 lipca 1870. Rok II.

Wojna o pannę.

Obrazek z małomiejskich stosunków Wielkopolski

skreślił

....

(Ciąg dalszy.)

V.

Tryumf pana Filipa.

Nazajutrz około dziewiątéj z rana, państwo Matusińscy w swym wykwintnym saloniku milcząc spożywali śniadanie. — Salonik ten nie odznaczał się bynajmniéj wielkością, ale natomiast posiadał wszystko, co podług małomiejskich wyobrażeń do rzędu zbytków należy, posiadał różnokwieciste obicia, meble machoniowe pomarańczowém pokryte suknem, posiadał fortepian elegancki, szklanną szafeczkę, w któréj przeróżne mieściły się drobnostki, kilka obrazów olejnych, pomiędzy któremi portrety familijne pani Petroneli główne nad kanapą zajmowały miejsce, posiadał wreszcie firanki tiulowe, przedmiot zazdrości wszystkich mniéj zamożnych współobywatelek. Salonik ten był głównym pani Petroni przybytkiem, w którym tylko urodzona szlachcianka przebywać była godną, w którym z należną powagą przyjmowała gości, do którego reszta domowych z czcią i poważaniem wstępować powinna.

Dla tego biedny pan Walenty, chcąc w towarzystwie swéj małżonki wypocząć po mozolnéj pracy, zdejmować musiał zamączoną katankę i w czarny ustroić surdut, dla tego Bałabartek swój orzeszkowy przywdziewał spencerek, dla tego Kachna, dzień cały gospodarstwem zajęta, nigdy w swym zabrudzonym fartuszku ukazać się nie odważyła. Pani Petroneli ceremoniał ten pochlebiał nadzwyczajnie, czuła się przedmiotem poważania i siedząc w rogu swéj pomarańczowéj kanapy, przybierała postać monarchini w obec grona uniżonych dworaków. — Pani Petronela w milczeniu i z należytą delikatnością popijała kawę; umysł jéj ważną zajęty był myślą, bo częstokroć chwil kilka w głębokiéj pogrążała się zadumie, bo częstokroć pytająco spoglądała na męża, który, zatopiwszy się w Dzienniku, nie zważał bynajmniéj na stan zagadkowy swojéj połowicy.

„Walenty,“ odezwała się wreszcie pani Petronela, odstawiając próżną filiżankę, „chciałabym z tobą pomówić słów kilka.“

„Słucham“ odpowiedział pan Walenty, nie podnosząc oczu z Dziennika. — „Słucham, słucham“ powtórzył po chwili, żadnéj nie odebrawszy odpowiedzi.

„Bądź łaskaw odłożyć gazetę,“ zauważyła pani Petronela, zimném mierząc go spojrzeniem. „Rzecz, o któréj mówić ci zamyślam, całkowitéj potrzebuje uwagi.“

Pan Walenty z widoczną niechęcią odłożył swój dziennik, skrzyżował ręce na piersi i obojętnie spoglądał przed siebie.

Pani Petronela czuła się obrażoną takiem lekceważeniem i groźniéj spojrzała na męża.

„No słucham, słucham!“ po raz trzeci odezwał się pan Walenty, względniejszą przybierając postawę.

„Rzecz ta tyczy się naszego Bartłomieja.“ — Pani Petronela, niechcąc ubliżyć swéj powadze, nigdy zdrobniałych nie używała imion. — „Nie wiem, czy uważałeś sam wczoraj, jak względną i przychylną względem niego okazywała się Zofja.“

I cóż z tego? rubasznie zapytał pan Walenty. „Dziewczyna żartuje sobie z niego, a chłopak w swojéj głupocie wszystko za dobrą przyjmuje monetę.“

Pani Petronela podskoczyła na swéj kanapie.

„Ale grzeczniéj, grzeczniéj Walenty,“ z pogardliwym rzekła spokojem. „Nie jestem przyzwyczajoną do podobnych wyrażeń. Zresztą mylisz się jak znajzupełniéj. W takich okolicznościach panna z wychowaniem i wykształceniem żartów nie dopuści się nigdy.“

Pan Walenty z niedowierzaniem potrząsnął głową.

„Powiadam ci, Walenty,“ ciągnęła daléj pani Petronela, „że sama przypatrywałam się jéj wzięciu i serdeczną tylko odkryłam życzliwość. Spodziewam się, że w tym względzie zaufać mi możesz zupełnie.“

„I cóż z tąd wynika?“ gniewnie zapytał pan Walenty.

„Co z tąd wynika?“ powtórzyła pani Petronela, uśmiechając się z lekką ironją.

„Rzecz bardzo naturalna, mój Walenty!... Mając tak silną podstawę, możemy śmiało przyspieszyć oświadczyny, możemy dziś jeszcze w imieniu naszego syna o rękę siostrzenicy poprosić proboszcza.“

Pan Walenty zerwał się z krzesła i byłby z pewnością niedelikatném wyrażeniem obraził estetyczne uczucie pani Petroneli, gdyby go lodowaty wzrok małżonki w przyzwoitych nie był wstrzymał karbach.

„Dziś, dziś? zawołał po chwili. „Po co ten pospiech, pytam się, kobieto?“

Po co ta zwłoka, pytam się człowieku?“ spokojnie odparła pani Petronela.

„Zwłoka! wybuchnął pan Walenty, nie mogąc dłużéj powstrzymać swego gniewu. „Zwłoka jest jedynie rozsądną w tym razie. I cóż z tego, pytam się raz jeszcze, że dziewczynie bałamucić przyśniło się chłopaka?... Może ona śmiało przewracać mu w głowie, bo jak łaskawy stryjaszek soloną pokaże nam figę, to i wymówka gotowa.“

„Nam?“ krzyknęła pani Petronela, zrywając się nagle z kanapy.

„A nam!“ odparł pan Walenty niezwykłą natchniony odwagą. „Czy myślisz, że nasza koligacya uśmiechać się może proboszczowi?. Nie z lepszego on ci wprawdzie kalibru, bo i on kiedyś gęsi zaganiał, ale że się na wierzch wygrzebał szczęśliwie, to już nosa zadziera do góry i człowieka jak nieboskie traktuje stworzenie. Nie głupi on z nami bratać się, kobieto, poszuka on lepszéj partii dla swojéj marmuzeli.“

Słowa te ugodziły w najsłabszą stronę pani Petroneli, w poczucie jéj szlacheckiéj godności. Szorstkie obejście proboszcza, który nawet dla niéj szczególniéjszych nie okazywał względów, od dawna drażniło ją w duszy. W jéj wyobrażeniu nieszczęśliwy mezalians winien był temu jedynie; ksiądz proboszcz zapomniał widocznie, że kiedyś była szlachcianką i w obchodzeniu swojem żadnego względem niéj nie robił wyjątku. Myśl tę nierozważne słowa pana Walentego znowu rozbudziły w jéj sercu. Pani Petronela z oburzeniem zasiadła w fotelu i milczenie trwało chwil kilka.

„Jeżeli tak sądzisz, Walenty,“ odezwała się wreszcie pani Petronela, „w takim razie sprawę tę nie tylko odłożyć, ale całkiem zaniechać nam trzeba.“

Pan Walenty wystraszył się w głębi serca i niecierpliwie chodził po pokoju.

„A jak się Filipek zgrabnie zabierze do rzeczy,“ pomyślał sobie w duszy, „jak mi swego synalka ożeni przed nosem?. Trzeba koniecznie przewrócić mu szyki, trzeba przynajmniéj poprobować szczęścia.“

„Zaniechać mówisz, kobieto?“ odezwał się głośno do żony. „To znowu hańba widoczna... A coby na to ludzie powiedzieli w mieście?... Pokazać trzeba temu księdzu, żeśmy nie zapomnieli z kąd rodem i że, choć się sam nas wyrzeka, my żadnéj nie uznajemy różnicy. Jeżeli odmówi, to całemu miastu obraza, a miasto nie zniesie jéj spokojnie.“

Jak widziemy, pan Walenty sam ze sobą w zupełnéj był niezgodzie. Z jednej strony spodziewał się odmownéj odpowiedzi i na otwartą nie chciał się narażać klęskę, z drugiéj zaś możliwe pana Filipa zwycięztwo napełniało go przestrachem i zazdrością i do stanowczego pobudzało kroku.

Pani Petronela, zgadując myśl jego ukrytą, nieznacznie uśmiechnęła się do siebie.

„A więc spieszmy się, spieszmy, Walenty!“ zawołała, prostując się w fotelu.

„Ale nacóż się spieszyć, do kata!“ niecierpliwie odburknął pan Walenty. „Może się z czasem lepsze nadarzą okoliczności może lepiéj poznamy co czynić!“...

„Ależ łatwo nas tymczazem uprzedzić kto może!“ niedbale zauważyła pani Petronela.

Pan Walenty w zamyśleniu usadowił się przy oknie.

„Zapomniałam ci wczoraj powiedzieć,“ ciągnęła daléj pani Petronela, obojętnie bawiąc się serwetą, „że pan Filip w tych dniach jeszcze, w imieniu syna oświadczyć się zamyśla proboszczowi.“

Pan Walenty zerwał się z krzesła i ciekawie spoglądał na żonę.

„Sam mi to zapowiedział uroczyście i żadnéj nie mam wątpliwości, że groźbę swoją wypełni. Wystraszył się biedak zapewne, widząc zaloty Bartłomieja, i nieszczególne mieć musi widoki, bo strasznie był zły i poważny.“

Pan Walenty zwolna usiadł na miejscu i zamyślił się bardzo głęboko. Scena, któréj dzień wprzódy przyglądał się przez okno w zupełnie inném teraz przedstawiła mu się świetle. Pan Fijip widocznie jakieś przedwstępne chciał uczynić kroki i niefortunnego doznał przyjęcia.

„Tak jest,“ pomyślal sobie pan Walenty. „Filipek zwąchał jakieś niebezpieczeństwo i szybkim szturmem uratować się myśli. Uprzedzić go potrzeba koniecznie, bo któż wie, jakich użyje tam sztuczek?“

„I cóż?“ zapytała pani Petronela, pewną już będąc zwycięztwa.

„Idziemy,“ zawołał pan Walenty, niechcąc się w dłuższe zapuszczać namysły.

„Dziś jeszcze? z pozorną obojętnością zapytała pani Petronela.

„Dziś jeszcze!“ powtórzył pan Walenty i szybko chodzić zaczął po izbie.

Przybycie Kachny dalszą przerwało rozmowę.

Gdyby pan Walenty zdolnym był choć na chwilę z zimną krwią obliczyć stosunki, byłby z pewnością

w swym obrachunku niejedną ujrzał pomyłkę; byłby przekonał się nasamprzód, że pan Filip, w razie niefortunnych widoków, uśmiechem i milczeniem pokryłby swe troski i przeciwników jak najdłużéj w fałszywém utrzymywałby mniemaniu; byłby przekonał się przynajmniéj, że, przypuściwszy możliwość tak przyjaźnych dla siebie okoliczności, powinienby spokojnie zupełnéj pana Filipa oczekiwać porażki.

Niestety, drażliwa namiętność na najfałszywszą wprowadziła go drogę. Pan Walenty ujrzał jakiś blady promyczek nadziei, a ponieważ pragnął go gorąco, nic więc dziwnego, że obawiając się łatwéj jego utraty, stłumił w swéj duszy tysiące powątpiewań i niepewności i, chcąc raz wybrnąć z tego chaosu sprzecznych poglądów i myśli, jak rozbitek słabéj schwycił się podpory, tak rażące nieprawdopodobieństwo przemocą wmówił sam w siebie i na oślep najważniejsze powziął postanowienie. Jakże często w podobny sposób namiętnościom naszym rozsądek pogwałcać zezwalamy!...

Chwila, która tak ważne za sobą pociągnęła następstwa, w śród ogólnéj w domu państwa Matusińskich zbliżała się niespokojności. Pan Walenty dzień cały gorączkowo przechadzał się po izbie i dręczący rój powątpiewań gwałtem odpędzał od siebie; pani Petronela powagą i obojętnością dręczący pokrywała niepokój; Bałabartek, dowiedziawszy się o postanowieniu rodziców, cieszył i śmiał się po kątach, ale chcąc dobréj nadać im otuchy, w ich obecności spokojną popisywał się pewnością; Kachna, chociaż nieprzypuszczona do tajemnicy, domyśliła się jednak wszystkiego i znając dokładnie stan rzeczy, ze smutkiem nieuniknioną przeczuwała klęskę.—

Krótko po zachodzie słońca, około ósméj wieczorem, pan Walenty w czarném ubraniu, pani Petronela w swéj popielatéj sukni, Bałabartek w orzeszkowym spencerku milcząc wyruszyli ku probostwu. Bojowemu pochodowi Matusińskich przyświecała z sąsiedniego domu, z maleńkiego na pierwszém piętrze, okienka, potężna pana Filipa łysina. Pan Filip wyjrzał na chwilę, uśmiechnął się z rozkoszą, szybko jednak cofnął się w głąb izby i z zadowolnieniem klepiąc się po brzuszku, homerycznym wybuchnął śmiechem; potem rozsiadł się w krześle, zapalił fajkę i ścigając ulatujące kłęby wonnego dymu, razem z niemi uleciał w rajskie krainy marzenia.

Przed domem stał Kubuś i wypoczywając po całodziennym trudzie, zasadził ręce w kieszenie rozkoszował się papierosem i bezmyślnie dwom walczącym przypatrywał się pieskom. Widok zacnéj trójki, w świątecznych strojach i poważnym wędrującéj krokiem, zadziwił go nadzwyczajnie. Pan Walenty i pani Petronela żadnéj na niego nie zwrócili uwagi, Bartoś chciał go złośliwym poczęstować uśmiechem i uśmiechnął się bardzo głupowato. Zadziwienie Kubusia wzmogło się znacznie.— „A dokad to, dokąd, panie Bałabartku?“ zawołał z daleka, — ale zapytany, na półgłośny rozkaz ojca odwrócił głowę i żadnéj nie dał odpowiedzi Kubuś ścigał ich oczyma i w rozmaitych gubił się domysłach, kiedy nagle w sieni pana Walentego śliczna ukazała się Kachna z figlarnym na ustach uśmiechem i paluszkiem skinęła ku niemu.

„Panno Kasiu, co to znaczy?“ zapytał natarczywie, jednym skokiem stając przy jéj boku.

„A co mi pan dasz, jak powiem?“ naiwnie odparła dziewczyna.

„Co panno chcesz, tylko powiedz,powiez co żywo!“

„Zaraz powiem, ale najpierw musisz mi pan obiecać, że Bartkowi włos z głowy nie spadnie, że ani palca nie skrzywisz na niego.“

„Ależ przyrzekam, przyrzekam, na czarne oczki przysięgam nawet!... A więc gdzie poszli?

„A na probostwo.“

„A w jakim celu?“

„A po twoją pannę; ze złośliwym ukłonem odpowiedziała Kachna.

„Aa!“... zawołał Kubuś z uśmiechem, — ale twarz jego ani zbytniego zdziwienia, ani żalu, ani śladu nie wyrażała zazdrości.

Ten objaw obojętnego usposobienia zadziwił Kachnę niemało. Z całego więc arsenału załotów najpowabniéjszą wybrała minkę, czarne, iskrzące oczki z natężeniem wlepiła w twarz jego i w rozkosznym uśmiechu perłowe pokazała ząbki. Kubuś poznał, że się zdradził po części. Niechcąc więc opóźnionêm udawaniem na bliższe naprowadzać ją ślady, obojętnie spojrzał gdzieś w niebo, puścił gęste kłęby dymu i ulubioną piosenkę o Ciurusiu zanucił. Ale przebiegła Kachna przeniknęła myśl jego do gruntu, zachichotała swawolnie i skacząc pobiegła do izby. Jedno zapomnienie ze strony przeciwnika o nowym przekonało ją podboju!...

„Zrobiłem głupstwo!“ mruknął Kubuś i gwiżdżąc powrócił do domu. Czarne oczęta dziewczyny wyjść mu nie mogły z pamięci!...

Tymczasem państwo Matusińscy w milczeniu zbliżali się do probostwa.—

Probostwo miasteczka D., na znaczném położone wywyższeniu, naprzeciw kościoła i cmentarza, staroświecką miało jeszcze postać. Był to dworek wązki a długi, pod słomianną zbudowany strzechą, z balkonikiem na drewnianych spoczywającym słupach, i z drewnianą z tyłu wystawką. Sień wązka i ciemna z wejścia prowadziła do kuchni, po lewéj był salonik proboszcza i długi pokój jadalny, po prawéj obszerny gabinet i maleńka obok sypialnia. Na piętrze, lub raczéj na poddaszu na które po skrzypiących wchodziło się wschodach, była sień ogromna, pokoik Zosieńki i mieszkanie wielebnéj pani Kogucińskiéj. Domek ten, osłonięty cieniem drzew wysokich, z dwóch stron podwórzowemi otoczony budynkami, z tyłu do warzywnego przytykający ogrodu, a zewsząd z przyległościami grubym opasany murem, który zajezdna przerywała brama, nad całém wznosił się miasteczkiem. Ksiądz proboszcz z okien swego gabinetu, w którym dzień cały przepędzał przy pracy, niespodziewanych gości zobaczył z daleka.

Przypomniawszy sobie wczorajszą z panem Filipem rozmowę, z łatwością domyślił się celu tych nadzwyczajnych odwiedzin i w jaknajgorsze popadł usposobienie. Na sposób Talleyranda, postanowił on rzecz tę na krótkiem skończyć toporzysku i siląc się spokojny przybrać wyraz twarzy, zasiadł do biórka i pozornie zatopił się w pracy. — Państwo Matusińscy do zajezdnéj przybyli już bramy. Bartoś pozostał w podwórzu, aby stosownéj do wystąpienia oczekiwać chwili, a pan Walenty

z małżonką, rozpaczliwéj nabrawszy odwagi, przestąpił progi probostwa. Ksiądz proboszcz, nie powstając z krzesełka, odwrócił się ku gościom i mimowoli gniewliwe pokazał im czoło.

Spojrzenie proboszcza rozbiło od razu i tak słabe pana Walentego nadzieje. Instynktem przeczuł przegraną; machinalnie zasiadł na wskazaném krześle i na drodze obmyślaną przemowę zupełnie utracił z pamięci. Pani Petronela zwykłéj nie straciła powagi i już przedwstępne miała zabrać słowo, kiedy ją gniewne spojrzenie proboszcza niemym przejęło przestrachem.

„Domyślam się,“ ostro odezwał się proboszcz, chcąc drażliwe uprzedzić przemowy, „domyślam się celu tych odwiedzin. Jeżeli państwo w zamiarze swatania przybyliście do mnie, natenczas proszę zbytnich sobie nie zadawać trudów!...“

Pani Petronela, rażona jak gromem, na równe zerwała się nogi, ale pan Walenty żelazną zatrzymał ją dłonią i spokojnym odezwał się głosem.

„Łaskawy księże proboszczu, nie w taki to sposób przywiązane odprawia się owieczki. Ksiądz proboszcz odgadłeś, w jakim przyszliśmy interesie, i daną odpowiedz uważać musimy za stanowczą. Ale ze względu na tyle lat zgodnego całkiem pożycia, ze względu na rozliczne usługi, które księdzu proboszczowi przy każdéj oddałem sposobności, ze względu zresztą na wiek mój i położenie, racz ksiądz proboszcz łagodniéj obchodzić się zemną i choć kilka przytoczyć powodów, dla których tak niełaskawie oddalasz nas z tą proźbą...“

Mazepa.

(Dokończenie).

W Horce spotkali Karola wysłańce Mazepy, donosząc, że hetman nazajutrz z nim się złączy, ale gdy większa część wojska odstąpiła jego chorągwi, prowadzi tylko hufiec półtoratysiączny. Szóstego listopada przybył istotnie Mazepa do obozu młodego króla i na znak poddaństwa ucałował jego rękę.

Byłto wtedy (według opisu naocznych świadków) starzec blizko siedmdziesięcioletni, małéj urody, chudy, z włosem kołtunowatym, ale jeszcze czerstwy i bystrego umysłu. Przed nim noszono zwykle srebrną buławę, a za nim buńczuk z końskich włosów.



Pomnik Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Rozpoczęły się zaraz rokowania między królem szweckim a hetmanem, a używano w nich zawsze języka łacińskiego, w którym Mazepa, jak wszyscy ówcześni Polacy, bardzo był biegły. Chodziło o to, aby zręcznemi środkami wpłynąć na usposobienie ludności ukraińskiéj, i przeciągnąć takową na stronę Szwedów, tudzież aby ocalić stolicę Mazepy, miasto Baturyn, nad rzeką Sem. Wysłano tam oddział wojska w przyspieszonym pochodzie, ale napróżno: Moskale szturmem już miasto dobyli, i w pień wyciąwszy osadę, złożone w niém zapasy spalili. Bogactwa także Mazepy (na dwa miliony złp. wartujące), wysłane za Dniepr do Białocerkwi, zostały w drodze wytropione i zabrane.

Z Romny wydał Karol XII manifest do ludów ukraińskich, przyrzekając im znaczne korzyści w przymierzu z Polską i Szwecyą; ale te szumne obietnice żadnego nie sprawiły wrażenia i wkrótce całe Zadnieprze zalały wojska Piotra Wielkiego. Grom klątwy kościoła i złorzeczeń narodu spada na głowę starego hetmana i gwiazda jego blednieje. Starszyny kozackie obierają do buławy starodubowskiego pułkownika, Jana Skoropadzkiego. W Głuchowie, podczas uroczystego nabożeństwa, metropolita kijowski rzuca przekleństwo na Mazepę, powtarzane po kościołach aż do Moskwy. Rozdzierają dyplomy nadane mu przez cesarza, a bałwan, na podobieństwo jego zlepiony, z powrozem na szyi, kat wlecze po ulicach miasta i wiesza na szubienicy.

Po odbyciu leż zimowych między Zinkowem i Opocznią, nad rzeką Worsklą, Mazepa miał jeszcze udział w bezskutecznem oblężeniu Pułtawy i w walnéj pod tém miastem bitwie, stoczonéj 8-go lipca 1709 roku. Wiadomy jest wypadek boju pod Pułtawą: Szwedzi walczyli bohatérsko; lecz mimo całéj ich dzielności, mimo niezłomnéj odwagi swego króla, ulegli natarczywości przeciwników, walczących za najświętsze interesa. Hufce szweckie zostały pojedynczo otoczone i rozbite; nosze, na których Karol, ranny w nogę kazał się wynieść na bojowisko, potrzaskała kula armatnia; trwoga stała się powszechną. Po dwugodzinnéj walce 10,000 Szwedów poległo, reszta pierzchnęła w nieładzie. Straszna to zaprawdę, (mówi kronikarz) i mało widziana była batalia, gdy przez dni sześć pasując się *) złamać się nie mogli aż dopiero szóstego dnia przyszedł dies feralis, aegyptiacus, et ineluctabile tempus na Szwedów. O troche i sam nie wpadł w ręce moskiewskie król szwecki, gdyby go był jenerał Puniatowski z rotmistrzem lekkiéj chorągwi polskiéj Zorzewskim nie salwował; bo gdy konia jednego do noszów zaprzężonego, na których król leżał, kula armatnia zabiła, zostałby był nieomylnie in praedam hostilem, ale Zorzewski, skoczywszy ze swemi Polakami, opposuit se omni periculo,“ i t. d.......

Karol XII, mimo rany dosiadłszy konia, umknął z Mazepą z małym orszakiem ku Dnieprowi do Przewołoczny. Mazepa miał z sobą Tatarów znających doskonale te strony; ułatwił przeto królowi przeprawę przez rzekę. Zbiegowie przebyli pustynię, zwaną wówczas *dzikiem polem*, dzisiajszą gubernią chersońską. Przeszli nareszcie Bog, stanowiący wtedy granicę państwa

*) Miał tu zapewne na myśli pomniejsze utarczki bitwę poprzedzające:

tureckiego, i znaleźli przytułek w tym właśnie Oczakowie, pod którym niegdyś Mazepa szerzył spustoszenie. Ztamtąd hetman z królem szweckim przeniósł się do Benderu nad Dniestrem, gdzie sułtan Achmed stałe im wyznaczył mieszkanie. Lecz siły starca, stargane fizycznie i moralnie, nie podołały srogiemu zawodowi, jakiego po raz piérwszy doznał od losu tak dotąd dla siebie przychylnego; w parę miesięcy po bitwie pod Pułtawą umarł, podobno w Jassach.

Król szwecki okazały sprawił mu pogrzeb; sześć białych koni ciągnęło mary, przed któremi niesiono buławę hetmańską, a muzyka w czasie pochodu grała marsz żałobny. Za ciałem z głośnym płaczem postępowali Kozacy; żołnierze zaś szwedzcy opuścili chorągwie i strzelby na dół obrócili. Zwłoki jego złożono na spoczynek w Warnicy pod Benderem.

MODLITWA PORANNA.

Kiedy ranne wstają
zorze,
Tobie ziemia, Tobie
morze,
Tobie śpiewa żywioł
wszelki,
Bądź pochwalon Boże
wielki!
A człowiek, który bez
miary,
Obsypany Twemi
dary,
Coś go stworzył i
ocalił,
A czemużby Cię nie
chwalił?,



Ledwie oczy przetrzeć
zdołam,
Wnet do mego Pana
wołam,
Do mego Boga na
niebie
I szukam go w koło
siebie.
Wielu snem śmierci
upadli,
Co się wczoraj spać
pokładli,
My się jeszcze
obudzili,
Byśmy Cię, Boże
chwalili.

PIOSENKA.*)



Wlazł kotek, na płotek, i mruga:
Piękna to piosneczka — niedługa.

* * *

Nad srebrnym ruczajem u wzgórza,
Gdzie brzoza pochyla się biała,
Zosieńka prześliczna jak róża,
Na chłopca za płotkiem mrugała.
Niby to szukała stokrotek,
Gdzie modra przewija się struga,
Choć oczka jéj biegły za płotek:
Wlazł kotek, na płotek i mruga.

—

A chłopiec, a śliczny, a hoży!
Wzrok jego do głębi przenika.
Na licu mu igra brzask zorzy,
I patrzy i kręci wąsika.
Na rozkaz tak ślicznych szczebiotek,
Z nas każdy pokorny jak sługa,
Więc chłopiec przesadził opłotek...
Wlazł kotek, na płotek i mruga.

—

Już przy niéj, już gwarzy i ściska,
Ej, z chłopca to istna pokusa.
„Daj pokój bo patrzą ludziska!
Daj pokój“ ba, ukradł całusa...
„To cały kot, z niego nie kotek!
Lecz ze mną rozprawa niedługa:
A ruszaj że sobie za płotek!“
Wlazł kotek, na płotek — i mruga.

*) Pan Bolesław Dembiński do słów tych, prześliczną dorobił melodyę. Korzystam ze sposobności, aby mu za nią podziękować. (Przyp. Autora)

I poszedł z kąd przyszedł chłopczyna...
A czemu kradł całuś jak złodziéj?
Ba... ale figlarna dziewczyna.
Jak dawniéj na wzgórze przychodzi!

I niby to szuka stokrotek,
Gdzie modra przewija się struga...
Lecz oczka jéj biegną za płotek:
Wlazł kotek, na płotek i mruga.

Poznań dnia 7 juli 1870 r. W. Bełza.

Wspomnienie z podróży. *)

Przed laty kilku udało mi się w czasie letniego sezonu uwolnić na parę tygodni od codziennych zajęć które mię w Paryżu do miejsca przykuwały Postanowiłem czas ten, jakby na loteryi życia wygrany, poświęcić zwiedzeniu wchodniéj i południowéj części Francyi gdzie natura tyloma skarbami ziemię i jéj mieszkańców obdarzyła. Po zdecydowaniu się, wykonanie projektu szybko nastąpiło. W godzin kilkanaście byłem już na statku płynącym w dół Soaną, któréj cieniste brzegi i zdala rysujące się wierzchołki Jura miłe oku dawały obrazy. Niezważając na towarzyszki i towarzyszy podróży otaczających mię w około, siedziałem zamyślony, z oczami utkwionemi w bogate obrazy natury, lub wzrok zmęczywszy, biegłem myślą w rodzinne strony, gdzie siłą nigdy niezatartéj pamięci wszkrzeszałem wspomnienia szczęśliwie ubiegłéj nad brzegami Niemna... przeszłości. — Tak minęło godzin parę... gdy w tem jeden z najbliższych moich sąsiadów, powstawszy z krzesła, podszedł ku mnie i uderzywszy lekko po ramieniu rzekł w akcencie zdradzającym pochodzenie południowéj Francyi.

— „Pan jesteś cudzoziemcem i zdaje mi się z kraju bardzo na północ położonego“

— „Nie myli się pan“ odrzekłem, ale dziwi mię to, że z pomiędzy tylu cudzoziemców pana tu otaczających ja jeden na uwagę jego zasłużyłem“

— „Pan jesteś Polakiem... rozróżniam was wszędzie po waszych blond włosach, a szczególnie po waszym wyrazie óczu i twarzy całéj, z któréj bije jakiś niewytłomaczony smutek, nawet w tenczas kiedy usta wasze się śmieją... Wyraz ten (dodał z westchnieniem) jeszcze za młodych lat utkwił mi dobrze w pamięci“

Był to mężczyzna lat około 50-ciu, średniego wzrostu, z włosami już dobrze szronem pokrytemi, z twarzą nie piękną ale mającą dużo wyrazu. — Ubior oryginalny... powiedziałbym nawet zaniedbany, bo szerokie paleto nie odznaczało się czystością i prentensyą postępowéj mody — a połamany kapelusz więcéj zwyczajowi noszenia, jak potrzebie zdawał się odpowiadać. Z tem wszystkiem cała postać wzbudzała poszanowanie bo wyrażała naturalną powagę a w nieco rubasznym sposobie obejścia się, na dnie dostrzedz można było delikatność i wrażliwość uczuciową. —

Ostanie wyrazy nieznajomego zaintrygowały mię trochę — tak, że z chęcią rozpoczętą gawędę podtrzymywać zdecydowałem się.

— „Zapewne to wspomnienie pańskiéj przeszłości złączone być musi z jednym z poprzedników moich, którzy przyszli po burzy politycznéj szukać schronienia na ziemi gościnnéj Francyi“ odpowiedziałem po chwili milczenia.

— „Tak — mylisz się pan tylko w rodzaju, bo nie był to poprzednik, ale poprzedniczka... Więc i pan rzekł zatrzymawszy się trochę brałeś udział w ostatnich wypadkach?... Ach i ja, jeżeli niecia em to duszą z wami byłem!... i dziś nad nieszczęściami waszemi z wami boleję; młodzi, nierozważni, porwaliście się z motyką na słońce, z wiarą, że prawda zwycięża, zapominając że prawda dziś, by prawdą być mogła, bagnety przy sobie mieć musi. — Tak!... tak! byłem i ja młody i w prawdę bez bagnetów wierzyłem, ale szereg lat od owéj chwili do dzisiaj oczem innem mię przekonał. —

— „Szczęśliwy jestem z poznania człowieka, w którym tyle sympatii dla biednéj ojczyzny mojéj znajduję“ odpowiedziałem, poczem powstając padałem mu rękę i nazwisko moje wymówiłem. —

— „Ja jestem mój panie Doktorem — nazywam się S.... mieszkam w tych tu stronach i źle mi się nie wiedzie. Kiedyś za lat młodych miałem marzenia wielkie, stawiałem zamki na lodzie, w wyobraźni otaczałem głowę swoją wieńcem laurowym, ale powoli... powoli złote piórka ze skrzydeł opadły, i... na ziemi pozostać musiałem A jak to się stało, to ci opowiem panie opowiem tembardziéj dla tego, że osoba twojéj narodowości była główną przyczyną téj metamorfozy.

— Nie zdziwisz się pan „rzekłem ściskając rękę mego towarzysza“ że to ostatnie wyznanie ciekawość moją za ostrza. Pozostaje nam jeszcze blisko dwie godzin podróży, które mam nadzieję wystarczą na związanie silniejszym węzłem, pod tak szczęśliwą gwiazdą zrodzonéj przyjaźni — Przejdźmy na przód statku — będzie nam tam nieco swobodniéj“ dodałem wstając.

Po tych słowach propozycya moja niezwłocznie wykonaną została. Usiedliśmy w wygodnych krzesłach, a mój Doktór odchrząknąwszy, w tych słowach opowiadanie rozpoczął. —

I.

Musisz pan naprzód wiedzieć, że za młodu byłem tak zwanym, ambitnym mólem. Po otrzymaniu stopnia i przywilei doktorskich, przejąłem się myślą, że jestem w możności pożądania największych zaszczytów i że w kieszeni mojéj spoczywa ni mniéj ni więcéj jak skalpel Dupuytrena **) Myśl ta, wiara ta popychała mię do wygórowanéj pracy, co łatwo pan pojmiesz, w krótce zdrowie z kąd innąd silne, nadwerężyć musiało. Pracowałem ciężko, że szpitala szedłem na kursa, z kursów do szpitala a wieczory i część nocy poświęcałem na uporządkowanie zdobytych w dniu wiadomości. Pobudzała mię do tego chęć odznaczenia się, chęć zmuszenia ażeby „per fas aut nefas“ mówiono o mnie, chęć czytania imienia własnego w dziennikach publicznych, chęć zdobycia godności członka akademii. Były to marzenie jakie się zwykle miewa w 24 roku życia! Sławny wówczas doktor R. który mną się szczególnie opiekował, nie raz starał się, ale napróżno wybić mi tego cwieka z głowy. Panie S... powtarzał przy każdéj okoliczności, bądź ostrożny z tem pragnieniem błyszczenia!.... Postawiłbym dziesięć przeciw jednemu, że to cię sprowadzi na manowce a w naszym zawodzie mój kochany, pewne błędy równają się zbrodni. Ostrożnie więc, ostrożnie! —

*) Naśladowane z Dickensa.

**) Jeden z najsławniejszych medyków francuzkich.

Pozornie starałem się słuchać ojcowskich rad zwierzchnika, ale w głębi serca znajdowałem je tchórzliwemi, tak, że one w miejscu odebrania dodawały mi odwagi. Cóżbyś powiedział stary gaduło, mówiłem do siebie, jeżelibyś ujrzał mię kiedy przekraczającego te subtelne granice doświadczeń, przed któremi brak odwagi zmusza cię do cofania się? Uważaj pan dobrze, że ten śmiały wykrzyknik był tylko monologiem, bo za nic w świecie nieśmiałbym uczcić taką wyrocznię fakultetu, epitetem starego gaduły.

W tym to właśnie czasie walki wewnętrznéj pewnego rana portier szpitalny wręczył mi list mówiąc, że jakaś dama prosiła ażeby go oddał bez zwłoki, i żądała przytem osobistego rozmówienia się w bardzo ważnym interesie. — Było to w chwili zajęcia się gorącego pracą, w dyssekcyjnym gabinecie, gdzie z natury studjowałem grę muskułów twarzy. Tak jak powiedziałem panu już poprzednio, zdrowie moje z dniem każdym zaczęło więcéj podupadać, ale przed nikim, nawet przed Doktorem R. niechciałem tego wyznać. Było to pewnego rodzaju miłością własną. Widziałem ludzi pyszniących się, że ręką wyprężoną są wstanie unieść 200 funtów; ja znowu pyszniłem się z tego, że mogłem 20 godzin z kolei przepędzić przy pracy. —

W stanie prawie gorączkowym, spowodowanym orgiami, że się tak wyrażę, pracy, najmniejsza przeszkoda, do rozpaczy mię przyprowadzała. — Niech idzie do diabła ta dama — krzyknąłem na portiera. Tymczasem list otworzyłem; był on od mojéj ciotki, po któréj w przyszłości spadek odziedziczyć miałem i która nie cierpiała najmniejszéj opozycyi. — Tak więc chcąc niechcąc ułagodzić się musiałem. — Wprowadź tę damę do audiencyonalnéj sali — za chwilę i ja tam przyjdę.

— „Pan zechce zwrócić uwagę... portier dokończył, wskazując ręką na umywalnię. —

To przywołanie do przyzwoitości dodało jeszcze oliwy do ognia, ale było ono koniecznem. Czoło kąpało się w pocie, rękawy od koszuli zagięte aż po ramię, włosy w nieładzie, wszystko to razem robiło mię więcéj podobnym do bandyty włoskiego niż do doktora w Paryżu. Poprawiłem więc naprędce z większego toaletę i wyszedłem na spotkanie nieznajoméj. —

Wchodząc do sali, w któréj wszystkie żeluzye pospuszczane były, spostrzegłem przy stole jakiś cień czarny i nieruchomy. Powoli oczy oswoiły się z ciemnością tak, że już rozróżnić potrafiłem w tym cieniu kobietę ubraną w żałobie i trzymającą na kolanach dziecię od dwóch do trzech lat. Kobieta ta na widok mój niepowstała i nie przewitała mię żadną oznaką grzeczności. Być może nieśmiałość lub zmęczenie było tego przyczyną; w każdym razie zachowanie się jéj nieco mię zaambarasowało. Spodziewałem się spotkać chłopkę wielką i gadatliwą, a znalazłem się przed damą któréj ubranie jakkolwiek nadzwyczaj proste, niemiało nic jednak sprzecznego z tém z jakiem nas ozwyczaja życie wielkiego świata. — Dama wciąż była nieruchomą i utkwiła tylko we mnie z pod wdowiéj wualki dwoje ócz czarnych, błyszczących. — Jam także na nią patrzał z pewnego rodzaju arogancyą, która jeżeli mam prawdę powiedzieć kosztowała mię nieco. Nigdy w życiu, — nawet przy wszystkich moich medycznych doświadczeniach, niespotkałem twarzy więcéj bladéj, więcéj krwi pozbawionéj, ... przezroczystszéj. Nigdzie najmniejszego cieniu, usta nawet zdawały się wykute z marmuru, ale z białością łączyły świeżość. Nareszcie, jakby z przymusem zwróciła do mnie te słowa: „Pan jesteś bardzo młody — to zapewne nie do Pana mnie tu przysłano.... Pan jesteś za młody.

— Początek ten nie bardzo mi się podobał, co razem złączywszy z poprzednią irytacyą musiało wywołać odpowiedź trochę opryskliwą.

„Jakkolwiek wydaję się pani bardzo młodym, umiem czas cenić i zawsze go oszczędzam.“ Jeżeli nie zamało dla niéj jeszcze jestem pozbawiony włosów na głowie, zechcéj pani powiedzieć w czem mogę być jéj użytecznym.

Ona patrzyła na mnie chwil kilka jeszcze nie odpowiadając, ale jak mi się zdawało egzaminując i studjując ciągle.

— „Dobrze więc“ odpowiedziała nareszcie z westchnieniem.“ Będąc tak młodym, masz pan zapewne jeszcze matkę i wiesz jak ona cię kocha... Jeżeliś ją pan stracił, pamięć musi mu być obecną.

Głos jéj, który zdawał mi się z początku twardy i głuchy, nabrał odrazu patetyczności i dźwięku nie oczekiwanego. Był on jak muzyka powolna, poważna i akcentowana; mówiła znowu:

— „Tak! wspomnienia macierzyńskie powinny obudzić w panu trochę litości. — To dziecię które pan widzisz przed sobą, jest wszystkiem co mi na świecie pozostało. — Ani tu na ziemi ani nawet tam w niebie, nie mam innéj nadziei jak w niem i dla niego tylko. — Zdaje mi się, że życie moje nigdy nie będzie dosyć długie z niem żyjąc, a bez niego dnia jednego nie byłabym wstanie przeżyć. —

Pomimo usposobienia mego, te ton uroczysty, ten głos wzruszony, ta twarz ascetyczna zaimponowały mi bardzo; ale dla tego właśnie uczułem jakby pewnego rodzaju wstyd. „Przepraszam“ przerywając jéj rzekłem, prosiłem już panią o zakomunikowanie żądanie swego.

— „Czyś pan nieczytał listu który panu przed chwilą wręczono“ —

— „Czytałem go, ale list nic mi nie tłomaczy.

— „Słuchaj więc pan!.... dziecię moje..... dziecię chodzić nie może!

— „Zapewne chciałaś pani powiedzieć że ono kuleje. Cóż więcéj...

— „Więcéj.... ale to do pana należy dawać pytania. Odpowiem na wszystkie. Co chcesz pan wiedzieć jeszcze?

Na wszystkie pytania tyczące się początku i symptomatów choroby odpowiadała krótko ale jasno. Gdy następnie osobiście egzaminowałem dziecię, ona każdy ruch mój śledziła okiem błyszczącem a po ukończeniu czynności utkwiła oczy we mnie z niewypowiedzianym niepokojem.

Zachowanie się to matki poruszyło mię do głębi, czułem jak rumieniec i bladość z kolei twarz moją oblewała. Zdawało mi się, że dziecie przez opatrzność do mnie zesłane było. Kalectwo jego łatwe do określenia, dawało nam doktorom wypadek rzadki a dla mnie tembardziéj pożądany, że się mieściło w tym dziale studjów, które mię od kilku tygodni całego absorbowały. Uchwyciłem się go więc z całą siłą, ponieważ pochlebiałem sobie, że zwalczyć potrafię a to zwalczenie zapewniłoby mi tryumf i postawiło w rzędzie najpierwszych operatorów.

Myśli podobne ożywiały mię co raz więcéj, a dama nieznajoma z tym egoizmem charakteryzującym macierzyństwo, wystawiała sobie, że cała moja uwaga zwrócona była na dziecię kalekie. Myliła się — tylko o chorobie myślałem. —

O biednem dziecięciu mówię z całą otwartością niemyślałem wcale; czy zostanie kaleką, lub nie, nie było to przedmiotem mojéj uwagi. —

— „Cóż panie?!.... jest też nadzieja wyleczenia?

Wyrazy te nie wyszły z ust matki, były one raczéj w jéj spojrzeniu i całéj postawie. —

— „Nie ma wątpliwości, zawołałem z tryumfującą pewnością, musimy je wyleczyć. Zaręczam panią ono

będzie chodziło,.... będzie chodziło, jak wszyscy zdrowi chodzą. —

Nagle nieznajoma, w przód nim uprzedzić zdołałem, klękła przedemną i chwytając rękę przycisnęła ją do ust bladych ale gorących. — Równocześnie twarz jéj ożywiła się i szkarłat oblał policzki. Wstrząsłem się i poruszeniem niezbyt zgrabnym wyrwałem rękę którą ona całowała. Po raz pierwszy w życiu usta kobiety dotknęły się ręki mojéj.

— Nieznajoma zwolna powstała i usiadłszy na krześle obsypywała pocałunkami czoło dziecięcia. —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Pomnik Adama Mickiewicza w Poznaniu.

(Z ryciną.)

W roku 1858 utworzył się komitet złożony 'z obywateli wiejskich i miejskich celem zebrania funduszu na wystawienie pomnika w Poznaniu, największemu z wieszczów naszych. Projekt ten sympatyczne przyjęcie w całéj Polsce znalazł tak, że w krótkim czasie odpowiednią sumę pieniężną, w ilości 6,000 tal. zebrano. Projekt i wykończenie przyjął na siebie bez żądania wynagrodzenia zaszczytnie znany artysta Oleszczyński. Tymczasem komitet ze swéj strony robił starania o uzyskanie od rządu przyzwolenia na budowę a od miasta odpowiedniego placu. Jedno i drugie szło oporem; w końcu jedn k z bi-gi wpływowych obwateli w połowie pożądany skutek odebrały. Na budowę pozwolono a plac przy kościele św. Marcina, ówczesny Arcybiskup na cel ten ofiarował.

Gdy już wszystko przygotowane było, w miesiącu sierpniu 1859, uroczysta inoguracya przy licznie zgromadzonéj publiczności nastąpiła.

Na podstawie stoi w naturalnéj wielkości postać autora Pana Tadeusza. Głowa i oczy w górę wzniesione jakby w obłokach szukały nadchnienia. Jedną rękę podtrzymuje togę na wpół przez ramię rzuconą, drugą zaś wspiera się na podstawie. — Cała postać, a twarz mianowicie oznacza się podobieństwem i tym boskim duchem którym mistrz się odznaczał.

Starania około pomnika i otaczającego ogrodu przyjął na siebie czcigodny lekarz Poznania p. Matecki, którego dom w sąsiedztwie się znajduje.

Od P. Teofila Lenartowicza, odbieramy pismo następujące:

„Signa, 11 lipca 1870.
Villa de la Selva.

Upraszam redakcye wszystkich pism polskich o wydrukowanie tych kilku słów, które posyłam, a czego mam nadzieję, iż mi nie odmówią.

Najniższy sługa
Teofil Lenartowicz.

Najnieszczęśliwszy małżonek po stracie towarzyszki życia wszystkiemi cnotami od Boga ozdobionéj, tkliwéj, rozumnéj, utalentowanéj, pracowitéj, poświęcającéj się, litościwéj, pobożnéj, ojczyznę głęboko miłującéj, do męża przywiązanéj, naukowo wysoko wykształconéj, pełnéj godności w czynach i słowach, zwraca się do przyjaciół zawiadomiając o jéj zgonie.

Zofia z Szymanowskich Lenartowiczowa uprzedziła męża swego do lepszego świata, unosząc ze sobą całe jego ziemskie szczęście i pozostawiając go boleści.

Z przejrzenia boskiego stało się to, co się stało i sam Bóg tylko mógłby użyć najnieszczęśliwszemu, gdyby w Jego przedwiecznych wyrokach zapisaném było, aby przeżył i ten cios najstraszniejszy, tę stratę najboleśniejszą, tę ranę najgłębszą. Żaden małżonek większą cześcią i miłością nie otaczał towarzyszki życia, i żaden boleśniejszego odemnie nie odebrał ciosu.

Przyjaciele, którzy wspólnie ze mną czujecie moje nieszczęście, kapłani znajomi i dziatki przed Bogiem niewinne, wznieście modły do Stwórcy za duszę téj najszlachetniejszéj Polki, tego wzoru cnót niewieścich, zapłaczcie z nieszczęśliwym, podzielcie boleść, któréj żadne ludzkie nie wypowie słowo.

Zgasła w Miłosławiu dnia 5 lipca 1870.

Gwiazda wróciła do gwiazd, nędzę ziemi, ziemi pozostawiając.

Niech będzie Bóg pochwalony we wszystkiém, w radościach naszych i w zabijających boleściach.

Teofil Lenartowicz."

* *
*

Pomiędzy małemi berbecikami jednéj z klas niższych, których zwykle przez szykanę nazywano parwusami, pamiętam jak dzisiaj, znajdowało się trzech wielkich chłopów: Jacuś, Wacuś i Maciuś, w zgodnym tryumwiracie noszących tytuł osiołków. Bo też nieraz w swéj błogiéj naiwności z takim mimowiedzy wystąpili dowcipem, że nietylko cała klasa nagłym jak wystrzał z działa wybuchała śmiechem, ale nawet sami profesorowie powstrzymać chętki do śmiania nie mogli i radzi nieradzi wtórzyli chichotem rozweselonéj gromadzie malców.

Raz na parę godzin przed egzaminem, t. j: przed przyjściem zwiedzającego szkołę wizytatora, zacny ksiądz prefekt, nakładszy wszystkim w uszy co się tylko zmieściło, namustrowawszy się na wszystkie boki, żeby popis poszedł i chwacko i gracko, a pragnąć by i te osiołki z czém kolwiek się popisali, naznaczył im pytania i rzekł:

— „Pamiętaj Wacusiu, że jak się spytam, kto cię stworzył? odpowiesz prędko: — Bóg Ojciec! Ty Maciusiu, na pytanie, kto cię odkupił? odpowiesz: Jezus Chrystus! Ty zaś ostatni Jacusiu, pamiętaj, że ciebie Duch Święty poświęcił." —

Chłopcy przełknęli, zarumienili się od obciążenia pamięci, w cichym szepcie zaczęli powtarzać przeznaczone dla nich odpowiedzi... w tém wszedł wizytator, i razem ze zwierzchnością szkolną zasiadł przed dużym stołem, okrytym suknem. —

Nauka religii rozpoczęła popis. Sypnęły się więc zapytania, odpowiedzi jak grad leciały, my rośli jak baby na drożdżach, ksiądz prefekt się uśmiechał, aż wreszcie przybliżył się do Maciusia i rzekł:

— „Kto cię stworzył?" —

Maciuś zerwał się, zaczerwienił, pomyślał trochę, i wskazując na Waciusia rzekł:

„Proszę księdza prefekta, to Waciusia stworzył, a mnie odkupił." —

Gdy rzecz wyjaśnioną została, łatwo się domyśleć, co się daléj działo; urzędowa powaga zniknęła, od śmiechu zatrzęsły się brzuchy, a my sobie tak pozwolili, że rzecz calą o mało nie skończyła się tragicznie .. w referacie stróżowym na pniaku.

Zagadka.

Dwa znacz nia mi nadano,
W pierwszym razie noszę miano
Miéjsca, kędy ptak domowy
Za dnia jeszcze siadł na grzędzie,
Za to rychło rano głosi,
Że do wstania już czas będzie.

W drugim razie miasto znaczę
Co choć małe, nie zbyt ludne
I wygląda coś na daczę,
Lecz ma położenie cudne.

Tu król polski niegdyś gościł,
Tu się zawiązała liga,
Tutaj nigdy gość niepościł,
Bo Odrowąż z zamku miga.

(Rozwiązanie szarady w nr. 29: ***Domicela.***)

Korespondencya Redakcyi.

Nieznajoméj autorce powieści Macocha. — Tendencya zacna; rozumowanie konsekwentne, ale sposób przeprowadzenia kwestyi zdradza niewprawne pióro. — Wcałem opowiadaniu więcéj widzimy autorkę, niż osoby przez nią do powieści wprowadzone. — Styl dosyć potoczysty ale nie naturalny. Wyrażenia n. p. „nadobna dziewica" i t. p., rażą przesadą. — Za pamięć serdecznie dziękujemy i chociaż tym razem powieść drukowaną nie będzie, spodziewamy się, że nieznajoma autorka pomocy swéj na przyszłość nam nie odmówi. Panu L. S. w Dreznie. Pospiech jest konieczny.

Od Redakcyi.

Z miasta równocześnie trzy dobre rozwiązania przeszłéj szarady otrzymaliśmy. Panu Mieczysławowi Lekszyckiemu, panu Świstackiemu, i pani Sokolnickiéj premje wręczyliśmy.

Z prowincyi p. Karmański z Ostrowa pierwszy telegramem rozwiązanie nadesłał. Premją pocztą przesłaliśmy.